

Jadwiga Kalmus

MIĘDZY STARYM SĄCZEM A MUSZYNĄ WSPOMNIENIA Z MŁODOŚCI

Nie jestem urodzoną muszynianką przysłałam na świat w Starym Sączu, w czasie, kiedy mój ojciec pracował na tamtejszej poczcie. Natomiast ojciec pochodzi z Muszyny - urodził się w małym przysiółku zwanym Miczuły. Mieszkaliśmy potem także w Piwnicznej, gdzie ojciec był kierownikiem poczty, na koniec osiedliśmy w Muszynie. Od dzieciństwa wychowywałam się wraz ze starszym bratem, Bartkiem, u babci (ze strony mamy) - w Starym Sączu. Był to niezapomniany dom, pełen rodzinnego ciepła i rozsądnej troskliwości, położony w dużym ogrodzie i sąsiadujący blisko z murami klasztoru, z tajemniczą wtedy dla nas bramą - furtą i wyniosłą basztą obronną. Przy tej furcie mniszka - furtianka wydawała gorącą strawę żebrakom, przez tę furtę wychodziło bydło z pastuchem na pastwisko i przez nią pod wieczór wracało. Wspominam to piękne stare miasteczko zawsze z wdzięcznością i sentymentem. Tutaj ukończyłam szkołę podstawową, a potem - dzięki zapobiegliwości nauczycielek i ofiarności cioci - mogłam uczęszczać do prywatnego gimnazjum im. Marii Konopnickiej w Nowym Sączu, dojeżdżając codziennie koleją.

Wakacje i ferie świąteczne spędzaliśmy u rodziców z resztą rodzeństwa (było nas czworo), najpierw w Piwnicznej, a później w Muszynie. Zachowałam obraz Muszyny z tych lat, widziany przez pryzmat wakacji. Pamiętam dziecinne zabawy i harce wokół szkoły, naprzeciwko której, na rogu uliczki, stał dom dziadków Miczulskich (dziś nie ma po nim śladu), pamiętam częste wycieczki na Malnik, baraszkowanie i kąpiele w rzece Muszynie. Dziadkowie, bardzo starzy oboje, siadywali albo w kuchni przy stole pod oknem, spoglądając na Malnik, albo na ławce przed domem. Gdy rozmawiali, używali lokalnej gwary muszyńskiej, w której niektóre słowa brzmiały dla mnie zabawnie. Gdy siedzieli w milczeniu, słychać było tylko pykanie fajki dziadka. Wydaje mi się, że dziadków niewiele obchodziły wnuki.

Rodzice z nami mieszkali na poddaszu („na górcie”), nad dziadkami, w dużej ciasnocie. Za to z balkonu poddasza mieliśmy piękny widok na cały Rynek, gdzie znajdowały się dwie okazałe kapliczki, św. Jana Nepomucena i św. Floriana, a obok nich studnie (z bliższej czerpaliliśmy wodę). Na Rynku odbywały się fascynujące nas jarmarki, oglądane z naszej „górci”. Swoistego kolorytu nadawali im przyjezdni handlarze, przeważnie Żydzi, i targujący z nimi okoliczni Łemkowie, obywatele muszyńscy, a także letnicy. Kramy zatłoczone towarami, jazgot targów i dobijania transakcji - to był dla nas urzekający teatr.

Wraz z naszym dojrzewaniem dojrzewała również sama Muszyna jako kurort, pod bokiem eleganckiej Krynicy. Zmieniały się też nasze zauroczenia - większą atrakcją

stał się Poprad, rzeka dla dorosłych, ruchliwy „deptak” za Popradem, muszla koncertowa, rozbrzmiewająca co dzień muzyką która urozmaicała dość daleki spacer do łązienek mineralnych i borowinowych. Ta promenada przyciągała barwnością i beztroską letników.

Z wakacji 1934 roku mocno utkwiała mi w pamięci groza powodzi. Szum wezbranych rzek Popradu, Muszynki i Szczawnika zagłuszał wszystko, żywioł wydawał się wszechogarniający i nie do opanowania - bardzo się bałam. Natomiast ostatnie wakacje w 1939 roku znamionował wielki niepokój; groźba wybuchu wojny wydawała się nam nastolatkom końcem świata, wśród letników wywołała zaś panikę i pospieszne wyjazdy z Muszyny. Także i my z rodzicami opuściliśmy w ostatnich dniach sierpnia Muszynę, udając się do Starego Sącza. Nasz bezpieczny świat się nagle zawalił i wszystko zostało przekreślone, nauka też. W Starym Sączu pozostaliśmy aż do końca wiosny 1940 roku, po czym wróciliśmy do Muszyny, gdzie rozpoczęliśmy nowe, pełne trosk i lęków życie pod okupacją niemiecką. Nic nie pozostało z dawnych, przeróbnionych urokiem wakacji. Nie zdołałam wcześniej wrosnąć w muszyńską społeczność, czułam się obco i samotnie, bez szkolnych więzi z rówieśnikami.

Smutków i kłopotów w czasie okupacji nikomu nie brakowało. Pewnym dla mnie oparciem pozostał nieutracony kontakt szkolny ze Starym Sączem. Zabrałam się do przerobienia materiału II klasy liceum i zdałam egzamin maturalny przed Tajną Komisją Egzaminacyjną w Starym Sączu w 1943 roku. Równocześnie zaczęłam indywidualnie przygotowywać do gimnazjum młodzież, na prośbę jej rodziców. Zajmowałam się tym, z dobrymi wynikami, do końca roku 1944. Lekcje odbywały się u mnie, w mieszkaniu za knajpą ojca w Rynku (obok lokalu „Adria”), czasem w domu ucznia, dla każdego 2-3 razy po 2 godziny w tygodniu, zależnie od sytuacji zapewniającej dyskrecję. Zdarzyło się jednak raz, że - ostrzeżona - musiałam zawiesić tajne nauczanie i „ulotnić” się na dwa tygodnie z Muszyny; potem jednak kontynuowałam nauczanie bez specjalnych zakłóceń. Uczyłam zwykle w godzinach przedpołudniowych, po jednej, czasem po dwie osoby, jeżeli był to ten sam przedmiot. Przerabialiśmy wszystkie przedmioty programu szkolnego. Dysponowałam książkami do nauki, trochę pożyczalam w Starym Sączu. Uczniowie zdawali stopniowo egzaminy w zakresie różnych klas gimnazjalnych. Kontaktowałam ich w tym celu z przedstawicielką tajnego nauczania w Starym Sączu. Po umówieniu mogli zdawać kolejne przedmioty nauki przed Tajną Komisją Egzaminacyjną w Starym Sączu albo w Nowym Sączu. Komisja ta przyjeżdżała do Muszyny dwukrotnie na tajne egzaminy, które odbywały się na zapleczu apteki p. Aleksandrowej. Było bowiem w Muszynie kilka osób zaangażowanych w tajne nauczanie. Ich działalność relacjonują sprawozdania p. Wieczorka, inspektora oświaty w Nowym Sączu, oraz wspomnienia p. M. Janiszewskiej, „męża zaufania” Powiatowej Komisji Oświaty. Poświadczają to również zapisy dokonywane w księdze parafialnej przez ks. proboszcza Kazimierza Zatorskiego, który był egzaminatorem z religii.

W moim „dorobku” indywidualnym mam co najmniej siedmiu uczniów, których wspominam jak najlepiej. Byli to: Andrzej Staniszewski (początkowo uczeń prof. Śliwy na Borysowie), Wójcik „z Popradu”, Henryka Wójcik i Ewa Wójcik (obie zamiesz

kafe wówczas przy Rynku), Stanisław Zatorski, Czesław Miller-Tarnogórski oraz mój brat, Stanisław Miczulski. Współpraca z nimi układała się świetnie, pracowali bowiem z ambicją i z entuzjazmem, pokonując własne braki i trudności. Ja zaś, mimo młodego wieku, starsza od uczniów zaledwie o kilka lat, budziłam w nich respekt.

Po półwieczu skontaktowałam się telefonicznie z niektórymi z nich. Mile zaskoczeni, z niekłamana radością wyznali, jak piękny był dla nich ów czas tajnej nauki, to „światło w mrokach wojny”; nazywali mnie swoją „centralą”. Ze wzruszeniem wspominaliśmy tę pierwszą młodość, udrękę matmy i łaciny, satyryczne wiersze (oczywiście o mnie), nieśmiałą adorację, okupacyjne zagrożenie, ale przede wszystkim - entuzjazm. Po wojnie moi uczniowie mogli kontynuować naukę bądź w gimnazjum i liceum w Muszynie, bądź gdzie indziej (np. Czesław Miller-Tarnogórski w Wałbrzychu). Stanowili oni tę część młodzieży, dla której powołano w Muszynie zaraz po wojnie szkołę średnią: w roku 1945 I klasa licealna liczyła ośmiu uczniów, wśród nich byli Stanisław Zatorski, Andrzej Staniszewski, moi dwaj bracia Stanisław i Andrzej Miczulscy. O dalszych losach innych moich uczniów dowiedziałam się później: Henia Wójcik ukończyła farmację we Wrocławiu, Ewa Wójcik-Krzyżanowska emigrowała do Ameryki (obie już nie żyją), Stanisław Zatorski ukończył prawo w Krakowie i został notariuszem w Bochni, Andrzej Staniszewski ukończył Politechnikę w Warszawie i pracował na tej uczelni (też nie żyje), Czesław Miller-Tarnogórski studiował polonistykę w Krakowie, potem trochę parał się dziennikarstwem, wreszcie osiadł w Warszawie, zajmując się tłumaczeniami z literatury obcej (głównie z niemieckiego), a mój brat Stanisław ukończył historię na UJ i pracował w krakowskim oddziale PAN. Z niektórymi z nich miałam przyjemność spotkać się na jubileuszu 25-lecia Gimnazjum i Liceum w Muszynie w czerwcu 1995 roku.



Uroczystość odsłonięcia tablicy upamiętniającej tajne nauczanie podczas okupacji niemieckiej. Tablicę, umieszczoną na budynku apteki, odsłoniła autorka wspomnień (stoi za księdzem). Czerwiec 1995 r., fot. ze zbiorów autorki

Po zakończeniu działalności w tajnym nauczaniu, wyjechałam z Muszyny na początku 1945 roku do Krakowa, gdzie dostałam się na studia, o których tak długo marzyłam. Uczelnie krakowskie emanowały wprost entuzjazmem, w pogoni za wiedzą ciągnęli do Krakowa młodzi ludzie zewsząd - z kraju i ze świata, prosto z wojny; było to naprawdę niezwykle zjawisko. Na nowo utworzonej Politechnice Krakowskiej studiowałam architekturę. W roku 1949 uzyskałam absolutorium, rozpoczęłam pracę zawodową i wyszłam za mąż. W następnym roku miałam obronę pracy dyplomowej, po czym zostałam skierowana do Biura Projektów „Miastoprojekt” w Krakowie, gdzie pracowałam nieprzerwanie aż do emerytury. W tym okresie wychowaliśmy z mężem dwóch synów. Los nie oszczędził nam ciosów - najboleśniej była tragiczna śmierć młodszego syna w Himalajach w 1985 roku. W roku 2000 zmarł mój mąż, Aleksander Kalmus, również architekt. Ucieczką w dawne moje pasje jest dla mnie od ponad 10 lat Uniwersytet Trzeciego Wieku przy Uniwersytecie Jagiellońskim.



Jadwiga Kalmus i Andrzej Staniszewski w czasie jubileuszu Gimnazjum i Liceum w Muszynie
(ze zbiorów autorki)